



**Prenumerata wynosi:** w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru: Uczynność i Wdzięczność, komedia w czterech aktach z francuskiego Eugeniusza Labiche i Edwarda Martin, przetłomaczona przez Miłosławę Kaszewską. Zielone Okulary, fotografie bez retuszu zdjęć z natury, Wołody Skiba. — Przegląd literatury zagranicznej. — Przyczynki do historii literatury powszechnej. — Symbolika kwiatów i roślin. — Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkuszowego. —

## UCZYNNOŚĆ I WDZIĘCZNOŚĆ

KOMEDJA W CZTERECH AKTACH

Z FRANCUSKIEGO

Eugeniusza Labiche i Edwarda Martin,

PRZETŁOMACZONA

przez Miłosławę Kaszewską.

(Dokończenie).

### Akt IV.

Ogród, — Ławki, krzesła, stół wiejski, na prawo altana.

#### Scena I.

Lucjan, później Perrichon.

Lucjan (wychodzi z głębi na lewo). Dziesiąta godzina! a spotkanie dopiero o dwunastą. (zbliża się do altany i daje znak) Cyt! cyt!

Perrichon (wychylając głowę z po za drzwi altany). Al! to pan... sprawnij się cicho... za chwilę będę ci służył (cofa się).

Lucjan (sam). Biedny ten Perrichon! musiał tę noc bardzo źle przespać. Szczęściem że do tego pojedynku nie przyjdzie.

Perrichon (wychodząc z altany w długim płaszczu). Otoż jestem... czekałem na pana...

Lucjan. Jakże się pan miewasz?

Perrichon. Spokojny, jak marmur!

Lucjan. Mam szpady w powozie.

Perrichon (otwierając płaszcz) A ja mam je tu.

Lucjan. Dwie pary?

Perrichon. Jedna może się strzaskać... nie chciałbym żądać zawieszenia broni.

Lucjan (na str.) Nie ma co mówić to lew! (na str.) Powóz stoi przed bramą... jeżeli pan chcesz...

Perrichon. Za chwilę! Która godzina?

Lucjan. Po dziesiątej.

Perrichon. Nie chciałbym stanąć przed dwunastą... ani później. (na str.) Wszystkoby się mogło nie udać.

Lucjan. Masz pan słusność... byle stanąć na godzinę. (na str.) Wszystko by się mogło nie udać.

Perrichon. Przybyć wprzód... zakrawałoby to na

fanfaronadę; później oznaczałoby wahanie. Wreszcie czekam na Dydaka... wczoraj uapisłem do niego naglący list.

Lucjan. Otoż idzie.

#### Scena 2.

Ciż, Dydak.

Dydak. Odebrałem twój list, prosiłem o urlop... o co idzie?

Perrichon. Dydaku, ja się biję za dwie godziny!...

Dydak. Ty, ej dajże pokój! a czym?

Perrichon (otwiera płaszcz i ukazuje szpady) Tem.

Dydak. Szpady!

Perrichon. I liczyłem na ciebie, że będziesz moim sekundantem.

Dydak. Na mnie? Przepraszam cię, mój przyjacielu, to niepodobna!

Perrichon. Dla czego?

Dydak. Muszę iść do biura... danoby mi dymissyę.

Perrichon. Jeżeli prosiłeś o urlop?

Dydak. Ale nie dlatego, aby być sekundantem!... Świadkom wytaczają proces!

Perrichon. Zdaje mi się panie Dydaku, że ci tyle wyświadczył przysług, iż mógłbyś mi nie odmówić w tak stanowczej mego życia chwili.

Dydak (na str.) Wymawia mi swoje sześćset franków!

Perrichon. Ale jeżeli nie chcesz się skompromitować... jeżeli ci strach...

Dydak. Nie strach mi... (z goryczą) Ja wreszcie nie jestem swobodnym... potrafięś związać mnie węzłami wdzięczności. (zgrzytając zębami) Ah! wdzięczność!

Lucjan (na str.) To drugi exemplarz.

Dydak. Proszę cię tylko o to, abyś był z powrotem o godzinie drugiej... odbiorę dywidendę i w tej chwili ci ją wypłacę, a wtedy się skwitujemy!...

Lucjan. Zdaje mi się, że czas jechać (do Perrichona) Jeżeli pan chcesz się pożegnać z żoną i córką...

Perrichon. Nie! wolę uniknąć tej sceny... będą krzyki, szlochania... uczipią się mych sukien aby mnie nie wypuścić... (Słychać śpiew w kulisie) Moja córka!

#### Scena 3.

Ciż, Anna, następnie Pani Perrichon.

Anna (wchodzi śpiewając z polewaczką w rękę). La, la, la. (mówi) A to ty, ojeze!

Perrichon. Tak, widzisz, wyjeżdżamy... z temi dwoma panami... trzeba... (całuje ją ze wzruszeniem) Bądź zdrowa!

Anna (spokojnie) Bądź zdrow ojeze! (na str.) Nie ma się czego obawiać: mama uprzedziła prefekta policji a ja pana Hilarego (polewa kwiaty).

Perrichon. (ociera oczy i sądząc że córka znajduje się przy nim). No, nie płacz!... jeżeli mnie już nie zobaczysz... pamiętaj... (zatrzymując się) Patrzcie! ona podlewa kwiaty!

Dydak (na stronie). To mnie oburza, ale dobrze mu tak.

Pani Perrichon. (do męża, wchodząc z kilku kwiatkami w rękę). Mój mężu, czy można ściąć kilka gerogriń?

Perrichon. Żono!

Pani Perrichon. Zbieram bukiety do salonu.

Perrichon. Zbieraj... tniż... w takiej chwili nie ci nie mam do odmówienia... wyjeżdżam. Uranjo!

Pani Perrichon (spokojnie). Aha! jedziesz tam.

Perrichon. A tak... tam... z temi panami.

Pani Perrichon. Tylko staraj się wrócić w porę na obiad.

Perrichon i Dydak. Co?

Perrichon (na str.). A toż spokojna! czyżby mnie nie kochała?

Dydak (na str.). Wszystkim Perrichonom brak serca! to dobrze!

Lucjan. Już czas, jeżeli pan chcesz być na miejscu o dwunastą.

Perrichon (żywo). Punkt.

Pani Perrichon (żywo). Jeżeli punkt, to nie masz czasu do stracenia.

Anna. Spiesz się, ojeze!

Perrichon. Dobrze.

Dydak (na str.). One same go naglą! A to śliczna rodzina!

Perrichon. Żono! córko! bądźcie zdrowe!

## Scena 4.

Ciz, Hilary.

Hilary (ukazując się w głębi). Zostań pan, pojedynek nie będzie.

Wszyscy. Jaktó?

Anna. (na str.). O! Hilary! liczyłam na niego!

Pani Perrichon. Ależ wytłómacz nam pan....

Hilary. Rzecz bardzo prosta. Wsadziłem majora do Clichy.

Wszyscy. Do Clichy?

Lucjan. Ależ to dopiero czynny ten mój współzawodnik!

Hilary. Tak... jużesmy się o to przed miesiącem z majorem ułożyli... i nie mogłem znaleźć lepszej sposobności, aby mu wygodzić (do Per.) i panu również.

Pani Perrichon. Ah, panie! ileż wdzięczności!...

Anna (cicho). Pan jesteś naszym zbawcą!

Perrichon (na str.). Hm! to mi wcale nie na rękę... takim doskonale całą rzecz ułożyli... O trzy kwadransy na dwunastą mieli nas rozbroić.

Pani Perrichon (idąc do męża). Podziękujże!

Perrichon. Komu?

Pani Perrichon. Komu? A jużciż panu Hilaremu.

Perrichon. A prawda. (do Hilarego, sucho) Dziękuję panu.

Dydak (na str.). Rzekłbyś że go dławi to podziękowanie (głośno). Idę po moją dywidendę (do Lucjana) Jak pan sądzisz, czy kassa będzie już otwarta?

Lucjan. Zapewne. Mam powóz, mogę pana zabrać. Panie Perrichon, zobaczymy się wkrótce; czekam na odpowiedź pańską.

Pani Perrichon. (cicho do Hilarego) Zostań pan. Mąż mój obiecał dziś rzecz stanowcze słowo: chwila jest stosowna, oświadczyć się pan.

Hilary. Tak pani mniema... tylko że...

Anna (cicho). Odważnie panie Hilary.

Hilary. I pani także? o, jakżem szczęśliwy!

Dydak. Do widzenia, Perrichonie.

Lucjan (z ukłonem). Żegnam panie. (Pani Perrichon Anna wychodzą na prawo, Dydak i Lucjan na lewo w głębi).

## Scena 5.

Perrichon, Hilary, potem Jan, następnie Montfort.

Perrichon (na str.). Wcale, wcale mi to nie na rękę! Pisałem długo w noc do wszystkich znajomych, że idę się pojedynkować... stanę się śmiesznym.

Hilary (na str.). Musi być dobrze usposobionym... Sprobujmy (głośno). Kochany panie Perrichon....

Perrichon (sucho) Słucham pana.

Hilary. Nie mogę wystawić jakem szczęśliwy, że mi się udało załatwić ten przykry interes.

Perrichon (na str.). Zawsze ta protekcyjna minka! (głośno) Co do mnie, mój panie, żałuję, żeś mnie pozbawił przyjemności dania lekcji temu nauczycielowi grammatyki.

Hilary. Ależ, czy nie wiesz pan o tem, że pański przeciwnik....

Perrichon. Jest ex-majorem drugiego pułku żuawów... I cóż ztąd... naprzykład?... Ja szanuję armję, ale jestem jednym z tych, którzy umieją pa-trzeć jej prosto w oczy. (Przechodzi dumnie koło niego).

Jan (u wniścia) Pan Major Montfort.

Perrichon. Co?

Hilary. On!

Perrichon. Mówiłeś pan, że on jest w areszcie!

Montfort (wchodząc) Byłem, ale już nie jestem (spostzegając Hilarego) Ah, panie Desroches! wypłaciłem już wexel pański, razem z kosztami...

Hilary. Dobrze majorze. Spodziewam się, że pan nie masz do mnie urazy... zdawałeś się tak pożądać zamieszkania w Clichy.

Montfort. Tak, ja lubię Clichy... ale nie w dniu, kiedy mam pojedynek. (do Perr.) Przykro mi, żeś pan musiał na mnie czekać... Jestem na pańskie rozkazy.

Jan (na str.). O! biedneż moje panisko!

Perrichon. Oddasz mi pan, sądzę, sprawiedliwość,

że w wypadku który zaszedł, byłem zupełnie obcym. Hilary. Zupełnie, gdyż przed chwilą nawet p. Perrichon, objawił mi żal iż nie mógł spotkać się z panem.

Montfort (do Perr.). Nie wątpiłem ani chwili, że pan godnym jesteś przeciwnikiem.

Perrichon (smutnie). Tegom się spodziewałem.

Jan (na str.) Coś mój pan trzyma się ostro!

Montfort. Świadkowie moi czekają przy domu... chodźmy!

Perrichon. Chodźmy!

Montfort (dobywając zegarek). Sama dwunasta.

Perrichon (na str.). Dwunasta!... już!...

Montfort. Będziemy tam na godzinę drugą.

Perrichon (na str.). Na drugą! to już patrol odejdzie.

Hilary. Co panu jest?

Perrichon. Maie... mnie... zawsze się wydawało, że jest pewna szlachetność w przyznaniu się do winy.

Montfort i Jan. Co, co?

Hilary. Co on mówi?

Perrichon. Janie, odejź!

Montfort. Przepraszam pana! Żądam, aby to wszystko odbywało się w obec świadków.

Hilary. Ależ..

Montfort. O, proszę pana, zostań.

Perrichon. Majorze, jesteś dzielnym żołnierzem... a ja... kocham żołnierzy! Wyznaję, że zawiniłem przed panem... i upewniam cię... (na str.) Niech diabli wezmą! i to w obec służącego! (głośno) Upewniam cię, że nie było ani w moim zamiarze... (daje znak Janowi do wyjścia; ten udaje że go nie rozumie) (na str.) Mniejsza o to, dziś wieczór wyrzucę go za drzwi (głośno) ani w mojej myśli... obrażać człowieka którego cenię i poważam!

Jan (na str.) Oj, coś panisko tehrzy.

Montfort. A więc się przeprosimy.

Hilary (żywo). O! żal!

Perrichon. Nie rozjątraj pan! nie rozjątraj! niech sam major mówi.

Montfort. Jakżeż więc, czy żal, czy przeprosiny?

Perrichon (z wahaniem). To jest tak: pół tego pół tamtego.

Montfort. Napisałeś pan wielkimi literami w księdze w oberży Montanvert: major jest....

Perrichon (żywo) Cofam ten wyraz! Już jest cofnięty!

Montfort. Cofnięty jest tu... ale nie tam! Rozpociera się on na białej stronie w obliczu wszystkich podróżnych.

Perrichon. Ha! co do tego, to chyba bym musiał sam pojechać, aby go zmasać.

Montfort. Nie śmiałem panu proponować, ale ponieważ pan sam się ofiarujesz....

Perrichon. Ja?

Montfort. Przeto przyjmuję.

Perrichon. Pozwól pan...

Montfort. Nie wymagam, abyś pan koniecznie wyjeżdżał dzisiaj. Nie! nie ma się co śpieszyć... dosyć będzie jutro.

Perrichon i Hilary. Jaktó?

Montfort. Jak? Oto pierwszym pociągiem kolei żelaznej. I przybywszy wyskrobiesz pan sam, z całą akuratnością dwa nieszczęsne wiersze, które wymknęły się pańskiej imaginacji... to mnie zobowiąże.

Perrichon. Tym sposobem muszę wracać do Szwajcarii?

Montfort. Nasamprzód, Montanvert leży w Sabaudyi... teraz to już jest Francja!

Jan. To daleko bliżej.

Montfort (ironicznie) Teraz pozostaje mi tylko złożyć hołd pojednawczemu usposobieniu pana.

Perrichon. Ja nie lubię rozlewu krwi.

Montfort. Uznaję się za zupełnie zaspokojonego (do Hilarego). Panie Desroches, mam ja kilka wexli w obiegu, jeżeli panu wpadnie który w ręce, to zawsze polecam się panu! Może mnie pan uratujesz! (z ukłonem) Żegnam panów, (przez pół zwrócony do Perriszona.) spodziewam się, że nie będę miał powodu wracać.

Perrichon (z ukłonem). Majorze... (Montfort wychodzi).

Jan (do Perr. smutnie). To przecież interes pański załatwiony.

Perrichon (z wybuchem). A ty, osle, zabieraj się i ruszaj precz z mego domu; zaraz ci zapłacę!

Jan (zdumiony). Boże! a cóżem ja zrobił (wychodzi na prawo).

## Scena 6.

Hilary, Perrichon.

Perrichon (na str.). Nie ma co mówić... ja go przeprosiłem. Ja, którego portret umieszczonym będzie w muzeum. Ale czyjaż w tem wina? pana Hilarego!

Hilary (na str.). Biedny człowiek! sam nie wiem, co mu powiedzieć.

Perrichon (na str.). I cóż! czy on ztąd nie wyjdzie? Może chce mi jeszcze oddać jaką przysługę... O, piękneż to, te jego przysługi!

Hilary. Panie Perrichon!

Perrichon. Słucham.

Hilary. Wczoraj wyszedłszy ztąd, udałem się do mego przyjaciela... urzędnika w zarządzie celnym... Mówiłem mu o pańskim interesie.

Perrichon (sucho) Zbyt pan dobrym jesteś.

Hilary. Już rzecz skończona. Proces został cofnięty.

Perrichon. Aha!

Hilary. Tylko napiszesz pan do strażnika kilka grzecznych słów.

Perrichon (z wybuchem). Tak! przeprosiny! znowu przeprosiny!... Do czego pan się wtrącasz nareszcie!

Hilary. Ależ...

Perrichon. Czy pan nie przestaniesz raz płatać się co chwila w moje życie?

Hilary. Jaktó?

Perrichon. A tak! Pan dotykasz się wszystkiego! Kto pana prosił, abyś aresztował majora? Gdyby nie pan, bylibyśmy tam wszyscy o dwunastą.

Hilary. Ależ nie panu nie przeszkadzało być tam o drugiej.

Perrichon. To nie wszystko jedno.

Hilary. Dlaczego?

Perrichon. Pan pytasz mnie dlaczego? Dlatego że... nie! Nie będziesz pan wiedział dlaczego! (z gniewem) Dostyć tych usług, mój panie! dostyć tych usług! Odtąd jak wpadnę w dziurę, bądź pan łaskaw zostawić mnie w niej. Wolę dać sto franków przewodnikowi... bo to kosztuje sto franków... nie ma się z czego tak pysznić! Będę pana także prosił abyś nie zmieniał godzin moich pojedynków, i pozwolił mi iść do wieży, jeśli mi się to podobać będzie.

Hilary. Ależ, panie Perrichon.

Perrichon. Nie lubię ludzi, którzy się narzucają... jestto niedelikatność! Pan nadużywasz!...

Hilary. Pozwól że pan...

Perrichon. Nie, panie! Ja sobie nikomu imponować nie dam! ja! Dostyć, dostyć tych usług! (wychodzi przez altanę).

## Scena 7.

Hilary później Anna.

Hilary (sam). Nic już nie rozumiem... w głowie mi się przewraca!

Anna (wchodząc). Ah, panie Hilary!

Hilary. Panno Anno!

Anna. Mówiłeś pan z ojcem?

Hilary. Mówiłem.

Anna. I cóż?

Hilary. Przekonałem się, że mnie cierpieć nie może.

Anna. Co pan mówisz? to niepodobna!

Hilary. Zapędził się aż do wyrzucania mi, że go śmiało uratować w Montanvert... Już już myślałem, że mi ofiaruje sto franków wynagrodzenia.

Anna. Sto franków! Co znowu!

Hilary. Powiada, że to taka cena!...

Anna. A to straszna rzecz! to niewdzięczność!

*Hilary.* Czuję, że go obecność moja drażni, udrećza i nie mi nie pozostaje, tylko pożegnać panią.

*Anna* (żywo). Wcałe nie; proszę zostać.

*Hilary.* Na co się to przydało? Ojciec rękę pani pozostawia dla pana Lucjana.

*Anna.* Ale ja nie chcę...

*Hilary* (radośnie). Ah,

*Anna* (poprawiając się). To jest mama moja nie chce! mama nie podzieliła usposobień ojca, ona jest i umie być wdzięczną; ona pana kocha... Przed chwilą jeszcze mówiła mi: Pan Hilary to bardzo uczciwy człowiek, pełen serca, oddałabym mu wszystko co mam najdroższego na świecie...

*Hilary.* Ależ tem najdroższem... jesteś pani!

*Anna* (nawnie). Tak sądzę...

*Hilary.* O! dziękuję pani.

*Anna.* To mamie podziękować trzeba.

*Hilary.* A mogę spodziewać się, że i pani miała równą dla mnie życzliwość?

*Anna* (zakłopotana). Ja?...

*Hilary.* Oh! proszę o jedno słówko...

*Anna* (spuszczając oczy). Panie Hilary! Jeżeli pani jest dobrze wychowana, to nie może myśleć inaczej, tylko tak jak jej matka (ucieka).

### Scena 8.

*Hilary, potem Lucjan.*

*Hilary* (sam). Ona mnie kocha!.. wyraźnie mi to powiedziała! Jakżem szczęśliwy!.. kochane to dziecko!..

*Lucjan* (wchodząc). Dzień dobry, mój Hilary!

*Hilary.* To ty... (na str.). Biedny chłopiec!

*Lucjan.* Możemy teraz nareszcie nieco pofilozofować... Pan Perrichon odbywa rekolekcje.. i za dziesięć minut będziemy wiedzieli jego odpowiedź! Biedny mój przyjacielu!

*Hilary.* Cóż takiego?

*Lucjan.* Ty w tej naszej kampanji popełniłeś mnóstwo błędów.

*Hilary* (ze zdziwieniem). Ja?

*Lucjan.* Słuchaj, Hilary, ja ciebie kocham, dam ci więc przestrożę, która przydać ci się może... na drugi raz! Ty masz jedną kapitalną wadę.

*Hilary.* Jaką?

*Lucjan.* Lubisz zanadto oddawać przysługi... jest to szkodliwa skłonność!

*Hilary* (z uśmiechem). A, to pierwsze słyszę!

*Lucjan.* Wierzaj mi... ja żyję dłużej niż ty, i to... w świecie względniejszym!.. Nim zobowiążesz jakiego człowieka, przeświadczyć się dobrze naprzód, że ten człowiek nie jest głupcem.

*Hilary.* Dla czego?

*Lucjan.* Dlatego że głupiec nie zdolny jest długo dźwigać tego nieznośnego ciężaru, który zwie się wdzięcznością. Są nawet ludzie rozumni tak słabiej budowy...

*Hilary* (z uśmiechem). Dobrze, dobrze. Rozwijaj że dalej swój podarek!

*Lucjan.* Naprzykład, taki pan Perrichon...

*Perrichon* (wychylając głowę z po za drzwi altany). Moje imię!

*Lucjan.* Pozwolisz, że go nie zaliczę do kategorii ludzi wyższych. (Perrichon znika.)

*Lucjan.* Otóż, pan Perrichon powoli powziął do ciebie odrazę.

*Hilary.* Tak mi się coś widzi.

*Lucjan.* A jednak tyś mu ni mniej ni więcej uratował życie. Czy sądzisz, że wspomnienie to przywodzi mu na myśl czyn poświęcenia? Nie! Ono przypomina mu trzy rzeczy: pierwsze, że nie umie jeździć konno; powtóre, że niepotrzebnie włożył ostrogi pomimo przestrożg żony; potrzebie, że się śmiesznie przedstawił publice...

*Hilary.* Zgoda, ależ...

*Lucjan.* A ponieważ do tego całego fajerwerku potrzeba było dodać wieniec ognisty, ty przeto wykazałeś mu, jak dwa razy dwa—cztery, że mało cenisz jego odwagę, zapobiegając pojedynkowi... który byłby się nie odbył.

*Hilary.* Jaktó?

*Lucjan.* Już i ja przedsięwziąłem potemu sztuczne środki... Ja także czasami oddaję przysługi...

*Hilary.* A widzisz więc...

*Lucjan.* Tak, ale ja się ukrywam, maskuję. Jeżeli wdzieram się w nędzę bliźniego, to zawsze cichaczem, bez obuwia i bez światła... jak do prochowni! Zkąd wnoszę..

*Hilary.* Że nie trzeba zobowiązywać nikogo?

*Lucjan.* O nie! Ale trzeba działać omackiem i wybierać pacjenta! Zkąd wnoszę, że rzeczony Perrichon nienawidzi cię; twoja obecność poniża go; on czuje się względem ciebie zobowiązany, niższym od ciebie! ty nad nim ołowiem ciężysz!

*Hilary.* Ależ to jest niewdzięczność!..

*Lucjan.* Niewdzięczność jest jedną z odmian pychy!.. Jest to niepodległość serca, jak powiada jeden przyjemny filozof. Owóż pan Perrichon jest rymarzem najniepodleglejszym z całego francuzkiego rymarstwa! Zwąchałem ja to od razu.. To też obrałem sobie drogę wprost przeciwną twojej.

*Hilary.* Jaką?

*Lucjan.* Wsunąłem się.. umyślnie! w małą szczelinę... wcałe niewinną.

*Hilary.* Umyślnie?

*Lucjan.* Czyż nie rozumiesz? Dać rymarzowi sposobność ocalenia bliźniego, bez żadnego dlań niebezpieczeństwa, to jest majstersztyk! To też od tej chwili, ja jestem jego radością, jego tryumfem, jego chwałą! Jak się ukazę, twarz jego promienieje, brzuch się nadyma, wyrastają mu pióra prawie na surducie... Ja go trzymam! tak jak próżność trzyma ludzi... Kiedy ostygą, ja go zagrzewam. rozdmuchuję.. drukuję go w gazecie... po trzy franki od wiersza!

*Hilary.* A! to ty?

*Lucjan.* Rozumie się! Jutro każe go odmalować olejno... sam na sam z górą Białą! Obstałowałem maluchną górę Białą i ogromnego Perriszona! Wreszcie pamiętaj to sobie... a nadewszystko nie wydaj mnie z sekretu: ludzie nie przywiązują się w miarę wyświadczanych im przysług, ale w miarę tych jakie sami wyświadczają.

*Hilary.* To być może, stosuje się do mężczyzn; ależ kobiety!

*Lucjan.* I cóż, kobiety...

*Hilary.* One pojmują wdzięczność, umieją zachowywać na dnie serca wspomnienie dobrodziejstw.

*Lucjan.* Piękny to frazes!

*Hilary.* Szczęściem, pani Perrichon, nie podziela uczuć swojego małżonka.

*Lucjan.* Mama jest może za tobą, ale ja mam za sobą próżność papy dobrodzieja... moja szczelina osłania mnie z wysokości Montanvert!

### Scena 9.

*Ciż, Perichon, Pani Perrichon, Anna.*

*Perrichon* (wchodzi w towarzystwie żony i córki — bardzo poważny). Panowie! rad bardzo jestem, że was zastaje razem. Obaj zaszczyliście mnie oświadczeniem się o rękę mej córki... dowiedciez się o mojem postanowieniu...

*Hilary* (na str.) Chwila dla mnie stanowcza!

*Perrichon* (do Lucjana z uśmiechem). Panie Lucjanie.. mój przyjacielu!

*Hilary* (na str.) Jestem zgubiony!

*Perrichon.* Jużem wiele dla pana uczynił. Teraz uczynić chcę jeszcze więcej... chcę panu dać...

*Lucjan* (z podziękowaniem). Ah, panie!

*Perrichon* (zimno). Jedną przestrożę... (cicho). Nie rozmawiaj tak głośno jak stoisz przy drzwiach.

*Lucjan* (zdziwiony). Co, co?

*Perrichon.* Tak... dziękuję panu za naukę (głośno). Panie Hilary — pan żyjesz mniej niż pański przyjaciel... rachujesz mniej, ale więcej mi się podobasz... oddaję ci córkę.

*Hilary.* Ah! panie...

*Perrichon.* I uważ pan, że nie chcę się z panem kwitować, zostanę zawsze twoim dłużnikiem... (patrząc na Lucjana) bo głupcy tylko nie umieją dźwigać tego nieznośnego ciężaru, który zwie się wdzięcznością. (Zwraca się na prawo, pani Perrichon przy-

prowadza córkę w stronę Hilarego, który podaje jej rękę).

*Lucjan* (na str.) Masz tobie.

*Hilary* (na str.). Biednyż ten Lucjan!

*Lucjan.* Jestem pobity (do Hilarego). Potem jak i przedtem, podajmy sobie ręce.

*Hilary.* O z całego serca!

*Lucjan* (idąc do Perrichona). A, panie Perriszonie, pan podsłuchujesz pode drzwiami.

*Perrichon.* Nic dziwnego, mój panie, ojciec stara się objaśnić... (bierze go na stronę). Powiedz mi też pan prawdę.. co tam!.. czy pan tam naprawdę umyślnie się rzuciłeś?

*Lucjan.* Gdzie?

*Perrichon.* W dziurę!

*Lucjan.* Jużciż tak, ale nikomu tego nie powiem

*Perrichon.* Bądź łaskaw.

*Lucjan.* Słowo!.. (Uściskania rąk.)

### Scena 10.

*Ciż, Dydak.*

*Dydak.* Panie Perrichon, odebrałem dywidendę dopiero o godzinie trzeciej i zatrzymałem powóz pana Lucjana, aby ci prędzej odnieść owe sześćset franków... oto są!

*Perrichon.* Nie było nic pilnego.

*Dydak.* Przeciwnie, mnie to nagliło... i bardzo. Teraz jużemy się skwitowali.. kompletnie skwitowali.

*Perrichon* (na str.). Jak pomyślę, że i ja takim byłem!.. brm!..

*Dydak* (do Lucjana). Oto jest numer pańskiego powozu, siedm kwadransów (daje mu kartę).

*Perrichon* (do Hilarego). Panie Hilary... (do Luc.) panie Lucjanie... jutro wieczorem będziemy w domu... i jeżeli chcecie zrobić nam przyjemność, przyjdźcie na szklanę herbaty...

*Hilary* (biegnąc do Per. cicho). Jutro!.. a zapomniałżeś pan przyrzeczenia danego majorowi?

*Perrichon.* A... prawda! (głośno) Przepraszam: zebranie nasze odłożymy na inny czas. Żono, córko, jutro rano wyjeżdżamy znowu do morza Lo dowego.

*Anna* (zdziwiona). Co?

*Pani Perrichon.* Jaktó! dopierośmy wrócili, po cóż znowu jechać?

*Perrichon.* Po co? możesz że się pytać? nie odgadujesz że... iż chcę raz jeszcze zobaczyć miejsce w którym uratował mnie Hilary.

*Pani Perrichon.* Jednakże...

*Perrichon.* Dosyć! podróż ta nakazaną mi jest przez... wdzięczność.

### ZIELONE OKULARY.

FOTOGRAFJE BEZ RETUSZU

zdjęt z natury

Włodzy Skiba.

(Dalszy ciąg).

### IX.

Pan Jan wyszedł z domu państwa Anzelmów z sercem wyleczonem z jednej choroby, a rozchorowanem na drugą, — zupełnie tak jak człowiek co wychodzi z ręki doktora stariej daty, który go merkurjuszem leczył. Merkurjusz uzdrawia z wszystkich chorób, jest prawdziwym panaceum, to prawda, lecz sprowadza za to nową chorobę. Ta choroba leczy się jadem, — środek tak niezawodny, jak china na febrę. Ale jad wpędza w chorobę nową którą potrzeba leczyć siarką. Siarka może leczyć stanowczo?... gdzie tam. Ona także rodzi chorobę, którą potrzeba leczyć — znowu merkurjuszem. Medycyna jest jasną jak Ewangelja: Abraham zrodził Izaaka, a Izaak zrodził Jakóba, tylko że w Ewangelji księga rodzaju idzie dalej, a w medycynie Jakób napowrót rodzi Abrahama.

W tem błędnem kółku medycyny serdecznój, znalazł się nagle pan Jan. Rozum, — lekarz klasy

pierwszej, — mówił mu że go wyleczył energicznie, radykalnie i szybko, z miłości groźnej nieszczęsnym zawodem. W rzeczywistości wyleczenie owo było tylko przeprowadzeniem w nową fazę choroby, która miała stać się normalnym stanem pana Jana od czasu jak się zaczął leczyć *contrariami*.

Dobrze mu tak, — zawołała na to może jaki zwolennik homeopatii, — czemu był allopatą w kochaniu. Miłość jest zabójcą tylko w takich razach, gdy się jej sercu homeopatycznymi dozami udziela.

Na usprawiedliwienie pana Jana to tylko powiedzieć możemy, że jako urzędnik i właściciel kamienicy, a wcale nie lekarz, miał pełne prawo nie zajmować się Hannemanem i tego prawa tak dalece używał, że nietylko o jego teorii ale nawet o jego istnieniu nie wiedział.

Skutkiem tej niewiadomości zapewne, zakochał się powtórnie i to bynajmniej nie homeopatycznie. Po przesileniu jakie przeżył następowała recydywa gorsza od choroby samą, — zakochał się w Annie na zabój. Uczucie, które nagle w sobie w skutek gorzkiego doświadczenia przytłumił, wywołało reakcję silną, przeniosło się na inny przedmiot i spotęowało tylko. O czem chciał się dowiedzieć dopiero, na co chciał mieć dowody od panny Julji, zdawało mu się jasnym, oczywiście i niepotrzebującym dowodzenia ze strony Anny.

— Podoba mi się i ja jej się podobam, — mówił do siebie, — to nie ulega zaprzeczeniu, kocham ją i ona mnie kocha, to jest zupełnie niewątpliwem.

Dawniejsza logika pana Jana zastąpiona została przez logikę nową, która nie bawiła się w długie argumentacje, lecz wszystko brała za pewniki.

— Kocham ją, kocha mnie, kochamy się, — oświadczył jej się, przyjmie, weźmiemy ślub.

Takie były założenia i taki z nich wypływał wniosek.

Po za tem wszystkim widział pan Jan tylko dwie fundamentalne zasady, wszystkich tych rozumowań i całego swego postępowania, — najprzód tę prawdę: że ożenienie się jego z Anną nie wykroczy bynajmniej przeciw konwenansom światowym: a potem to domniemanie, że ten jego związek będzie słuszną karą dla panny Julji, za to że jego pierwsze uczucia zawiodła.

Przy takim usposobieniu pana Jana, Annie nie było trudno dotrzymać przyrzeczenia danego przyjaciółce, jeżeli szczerze dotrzymać go chciała. Nie było potrzeby rozplamienia serca, które się przeniewierzyło pannie Julji, bo pan Jan już skutkiem pierwszego ataku, zdawał to serce na łaskę zwyciężczyni i był już rozkochanym jak nie można lepiej; nie było powodu ciągnąć go za język żeby się oświadczał, bo dla pana Jana jedynym i najupragnieńszym celem stało się wyznanie jego uczuć i uzyskanie wzajemności; nie zachodziła wreszcie żadna trudność ukarania go pogardliwym odkoszem, jak się do tego zobowiązała Anna, gdyby nie to...

W tym względzie było pewne „gdyby nie to“.

Odrodzona i ku nowemu przedmiotowi skierowana miłość, spowodowała niepojęty przewrót w organizacji moralnej pana Jana. Kochając pannę Julję nie przestawał być poważnym, systematycznym, powolnym. Gdy tę miłość na cmentarzu swych wspomnień pogrzebał, gdy jej położył na grobie ów patetyczny epitaf: „o! kobieto!“ któryśmy z ust jego wyrwijającym się słyszeli, przestał być nagle takim jak był. Powaga, systematyczność, powolność stopiły się razem i zamieniały w zapal, który go o kilkanaście lat odmłodził. Rzekłbyś że pierwsza jego miłość była tylko uczuciem, druga stała się namiętnością. Wyzgrabiał, zmiękł, zrobił się gętszym i wypiękniał pod jej wpływem.

Anna to spostrzegła i zaczynała wierzyć, tak jak kiedy się widzi cuda, ma się słuszność wierzyć w róższkę czarnoksiężką. Skutki były dowodem przyczyny, odrodzenie mogło być tylko dziełem jakiejś *force régénératrice*, którą tylko miłość być mogła, bez jej magicznego działania niedźwiedz nie stałby się motylkiem.

Nie mogło się to niespodobać Annie. Była autor-

ką tego, było to jej dzieło. Autorom podobają się często dzieła własne, nawet wtedy, kiedy są nieudane. To dzieło udało jej się, i tym bardziej musiało przypaść jej do gustu. Nie można bez wrażenia, bez uczucia żywej radości spostrzedz, że ma się w sobie siłę twórczą, że się surowy materiał moralny lub estetyczny, spojrzeniem potrafi podnosić i uszlachetniać.

Rozkochanie się pana Jana zrobiło więc wrażenie na Annie. Spojrzała na niego zdziwiona i spostrzegła, że w jednej chwili stał się czem innym jak był przedtem. Zaczęła wierzyć w miłość, nad którą dotąd nie zastanawiała się której nie próbowała nigdy, lecz której przykład miała przed sobą.

Zacząć wierzyć w miłość jest to prawie toż samo co zacząć kochać, nie zupełnie przeciw to samo. Anna nie zakochała się jeszcze, — było to tylko upodobanie jej miłości własnej, dumna z tego co dokazała, miłości jeszcze nie było.

Bądź co bądź było już pewne współczucie. Anna uważała się za związaną słowem, wiedziała że gdyby jej się pan Jan oświadczał, to mu powinna była odmówić bezwarunkowo, i była zdecydowaną na odmowę. Złagodniała jednak znacznie i nie myślała się pastwić nad swą ofiarą. Postanowiła starać się ile możliwości, żeby do owych oświadczeń jak najdłużej nie przychodziło, — a gdyby wreszcie przyszło do nich, zamierzyła odmówić w sposób najmniej dla pana Jana bolesny.

Taką sobie uplanowała politykę, a dalej rzeczy szły już swoim trybem.

Pan Jan rozplamiony o niczem nie marzył, jako przyspieszeniu solenną chwilę; mimo to jednak Annie udawało się przez czas jakiś trzymać go na wodzy i okazje wynurzania uczuć oddalać.

Przez ten czas często myślała o nim.

Przypominamy sobie co jej mówiła panna Julja o piękności oczu pana Jana. Mimowoli przypominało się to Annie. Przedtem powątpiewała o tem, teraz zaczynała w to wierzyć. Ile razy przyszedł pan Jan spoglądała dość często na szkła zielone i domyślała się za nimi zagadki, tajemnicy. Wyobraźnia jej pracowała i rozwiązywała zagadkę, domyślała się tajemnicy na swój sposób. Codziennie jej się zdawało, że po za temi szklami musi być więcej piękna, więcej wyrazistości, więcej ognia, a wreszcie doszła do przekonania, że oczy pana Jana musiały być ideałem oczu męzkich. Opatowała na sposobność ujrzenia ich bez tej szklanej zastony, która ich blask i piękno kryła tajemnicą, nie myślała jednakże wywoływać tej sposobności, choć jej o to było nietrudno, — bała się bowiem tej okazji której pragnęła.

— Jakbym go zobaczyła bez okularów, — mówiła do siebie, — mogłabym się zakochać jak Julja, — i cóżby z tego wynikło?... nieszczęście — musiałabym rozdrzeć swoje serce i odmówić mu... co by było okropne... lub zdradzić Julję co byłoby niegodne... nie, ja nie powinnam chcieć tego. To niepodobna, żeby jego oczy miały być takie jak się zdaje.

Wmawiała to w siebie, a mimowiednie jakoś głos jej szeptał, że owe oczy były jeszcze piękniejsze, niż się zdawały i jej przyjaciółce i jej samą.

## X.

Pewnego dnia, pan Jan, — a było to w kilkanaście dni ledwie od owej nagłej zmiany jaka zaszła w jego sercu, — otóż pan Jan powiedział sobie.

— Nie, tak już dłużej być nie może... trzeba wszystko stawić na kartę... jeżeli mnie odrzuci nie będę się łudził dalej płonem marzeniem szczęścia... jeśli mnie przyjmie, jestem ocalony, — odżyje...

Ubrał się najwykwintniej i wyszedł na miasto.

Przed stanowczą chwilą zaczęła odstępować go odwaga, a przynajmniej serce biło mu tak, że czuł iż gdyby wszedł i znalazł się przed Anną, to by słowo wymówić nie mógł. Spieszyło mu się, pilno mu było do niej jak nigdy, a mimo to nie szedł najprostszą drogą, zbaczał w ulice niepotrzebne, nakładał drogi, i jakby jeszcze bał się przyjść zawczasie zatrzymał się przed wystawami sklepowymi i dumął.

Już był dość blisko, gdy znalazł się przed wystawą fryzjerską.

Wszedł do sklepu i kazał sobie ufrizować włosy.

— W loczki czy podwijane? — spytał go fryzjer.

— To mi wszystko jedno, — odpowiedział.

Fryzjer zabrał się do roboty, w dziesięć minut głową pana Jana była ufrizowana. Włosy pozostawione gładko, podwinięte tylko były do koła.

Nie przejrzał się nawet w lustrze, zapłacił i wyszedł, ale i teraz jeszcze nie poszedł wprost do domu rodziców w Anny.

— Obejdę przez Święto-Krzyżką, Marszałkowską i Chmielną — rzekł do siebie.

I znów nakładał półgodziny drogi mając przebyć sto kroków z Krakowskiego przedmieścia na Nowy Świat.

Im bardziej się zbliżał, tym szedł wolniej, a będąc znów o jakie sto kroków od domu, do którego szedł, tym razem z innej strony, spostrzegł inny sklep fryzjerski.

— Zapomniałem się ufrizować, — rzekł do siebie.

I raz jeszcze wszedł do fryzjera, kazał sobie przypiekać włosy.

— Jak pan sobie życzy? — zapytano go znowu.

— Jak tam chcesz, — odrzekł lakonicznie.

Był ciągle zadumany, marzący, serce mu biło, na kieżle poruszał się tak gwałtownie, że go chłopiec fryzjerski sparzył kilka razy żelazkiem.

Pan Jan nie czuł tego, nie syknął.

Po skończonej operacji która niezbyt obfite włosy jego przemieniła w mnóstwo kędzierzących się loczków, wyszedł.

Gdyby go kto spytał jak był ufrizowany, nie wiedziałby co odpowiedzieć, najpewniej by powiedział, że się nie fryzował wcale.

— Teraz pójdę prosto, — rzekł dodając sobie odwagi, — już się doskonale ściemniło... mogłoby być potem zapóźno.

Ten ostatni wyraz wydał mu się, jakby powiedzianym przez kogo innego.

— Zapóźno?... kto powiedział zapóźno?... — szeptał z cicha, — nie może być zapóźno... ja nie chcę żeby było zapóźno... śpieszymy się.

Spieszył się tak, że na schodach był już zdyszany.

Szarpnął za dzwonek, nie słyszał jego dźwięku, szarpnął jeszcze i po raz trzeci. Może mu bicie serca dźwięki w uszach głużyło, dość że mu się zdawało że dzwonek nie odpowiadał i dzwonił, dzwonił bez końca.

— Któż tam znowu?... Kto widział tak się dobijać. — dając się zapytała otwierająca drzwi służąca.

— Są państwo?

— Wyszli, — brzmiała odpowiedź.

Pan Jan się zdekongertował, lecz to go oprzytomniło cokolwiek. Miał zamiar zacząć od oświadczenia się rodzicom, niezastał ich, chciał wracać.

— Panna Anna jest w domu, — dodała służąca, może pan wejdzie.

— Jest — pomyślał pan Jan, — a to wybornie... odkładać niebędę — jej się oświadczę.

Zastał Annę w oświetlonym *al giorno* saloniku. Spodziewała go się zapewne i dlatego może z rodzicami nie wyszła, lecz była na przyjęcie gotową.

— Jak dobrze że pan przyszedł, — rzekła witając go, — rodzice wyszli, nie będę się nudziła sama.

Pan Jan zbliżył się do niej, był spokojniejszym nieco pozornie, lecz nie był jeszcze panem siebie. Owo nieszczęśliwe „zapóźno“ dźwięczało mu ciągle w uszach, nie zajął miejsca, które mu wskazała, lecz stanąwszy przed nią ujął jej dłoń i głosem tłumionym przez wruszenie przemówił.

— Pani!... ja nie wiem jak to pani przyjmie... ale dłużej tego tańca nie mogę — to silniejsze nademnie... wyznać muszę.. ja cię kocham pani i nie znajdę szczęścia bez ciebie...

Na więcej prócz tych kilku słów prostych zbrakło mu głosu. Stał, patrzył na nią i czekał.

Gdy zaczynał mówić Anna odgadła jego myśl, — chciała mu przerwać, ale nie znalazła sposobu.

Gdy skończył nie odpowiedziała natychmiast.

Oświadczyły pana Jana były nagle, lecz właśnie ta ich nagłość sama w połączeniu z prostotą wyrazów z tem wzruszeniem, które było najlepszym świadectwem szczerości uczuć, a które się w głosie zdradzało, wszystko to razem przemawiało za nim.

Annie przyszło na myśl, że powinna odmówić, że odmówić przyrzekała, lecz nim wymówiła słowo odmowy zawahała się i zdrżała.

Wyobraźnia przypominała jej te piękne, męskie oczy, których się domyślała i których ideał utworzyła sobie. Chciała się przyrzec tej tajemnicy nim ją odepchnie, — nie miała siły oprzeć się tej chęci.

Pan Jan stał zadziwiony tą chwilą milczenia, serce mu bić przestało, rad był przyspieszyć swój wyrok i obawiał się go usłyszeć.

Ona przed nim, nie spuszczać oczu, nie odpowiadając wyrazem twarzy, milczała i badawczo spoglądała w dwa szkła zielone, jakby chciała przez nie dojrzeć zagadkę.

Po chwili odezwała się wreszcie.

— Zdejm pan okulary...

— Jan machinalnie wykonał ten niespodziewany rozkaz.

Pozostali tak długo patrząc na siebie oboje i z każdą chwilą rozwiewały się ich marzenia.

Kiedy komu powiedzą że ujrzy arcydzieło Rafaelowego pędzla, gdy wyobraźnia przygotowuje jego oczy i jego zmysł estetyczny do podziwu mistrzowskiego utworu, wyidealizuje piękno które ma ujrzeć i do apoteozy je podniesie, i gdy mu potem nagle pokażą zgrabną robotę powszedniego talentu, coś ledwie nieco wyższego nad mierność, musi doznawać tego zawodu i rozczarowania jakiego oni doznawali oboje. Choćby patrzącym był człowiek o sędziwie trafny i łagodny, mimowoli będzie zbyt surowym a więc niesprawiedliwym w swoim zdaniu.

Anna utworzyła sobie tak wysokie wyobrażenie o piękności oczu pana Jana, że bodaj czy są męskie oczy na świecie coby wymarzonemu przez nią obrazowi odpowiedzieć zdołały w zupełności, a jeżeli są gdzie nawet podobne, to z pewnością nie były takimi oczami pana Jana. Anna chciała znaleźć w jego spojrzeniu rozwiązanie tysiąca zagadek, spojrzenie jego nie rozwiązywało ani jednej. Nie należało do tych spojrzeń co szpecą twarz, przystrajają ją pewnym życiem, nie było niepospolitem i porywającym, lecz nie było także zupełnie pozbawionem wyrazu i wstrętnem. Mimo to Annie wydało się ono już nawet nie powszednio pięknem, harmonizującym z ogółem rysów, lecz wprost szpecącym pana Jana i antypatycznym. Było to skutkiem zbyt wysokich wymagań jakim pragnęła, żeby to spojrzenie odpowiedziało, a po części zapewne przyczyniła się do tego i owa fryzura pana Jana, na którą przed tem Anna nie zwróciła uwagi, a która była drugim dysonansem w ogólnym jego postaci akordzie.

Jednym słowem ze zdjęciem okularów stanął przed nią jak inny człowiek. Przypatrywała mu się i poznać go nie mogła. Patrzyła nań jak na nieznanego i sympatji jej nie zyskiwał.

Pan Jan mniej więcej tych samych doznawał wrażeń.

Anna była drugą, w życie jego kobietą: a patrzył gołem okiem.

Pierwszą jak pamiętamy była panna Julja. Ujrzał ją przypadkowo bezbronnemi oczyma i został olśniony jej pięknoscią. Później patrzył na nią przez okulary, które jej obraz przyćmiły i mdłym kolorytem powlekły, lecz w duszy jego pozostała pamięć najpierwszego wrażenia. Karmił niem swoją wyobraźnię, i obraz tej którą widział stawał się w jego pojęciu coraz więcej promiennym, coraz bardziej olśniewającym, aż wreszcie przyszedł do przekonania, że na piękność prawdziwą gołem okiem patrzeć nie można, jak na światło.

Teraz nagle zobaczył Annę, i niepotrzebował przymrużyć oczu. W rzeczywistości nie była ona brzydszą od panny Julji, kto wie, była może piękniejszą, lecz pan Jan nieporównywał jej z panną Julją, a z jej obrazem wyidealizowanym, opromienionym przez jego wspomnienie, przez dosyć długą i nader czynną pracę jego wyobraźni. Tamtę uznał za słońce, ta mu się wydała księżycem bladym...

Czekał jej odpowiedzi i drżał... Nim zdjął okulary drżał o to, by odpowiedź nie była odmowna teraz drżał z obawy, żeby nie został przyjętym.

Nigdy w duszy zakochanego nie dokonał się przewrót zupełniejszy i szybszy... Gdyby mu Anna odpowiedziała, że go kocha, możeby odbiegł od niej i nie wrócił więcej.

Cały ten proces przemiany wyobrażeń obojga, odbył się w czasie daleko szybszym niż na opisanie go trzeba było. Gdyby zdjęcie okularów inny sprawiło efekt, Anna zapewne nie zdobyła by się na heroizm dotrzymania słowa danego przyjaciółce, teraz jednak przychodziło jej to z wszelką łatwością.

— Panie, — rzekła po długiej chwili milczenia, omyliłeś się pan... Zamiast odpowiedzi, która nie byłaby może po myśli pańskiej, dam panu radę przyjacielską, sprzyjam panu bowiem i jestem szczerze życzliwą. Julja kochała pana i kocha. Jest to serce szlachetne, zacne, godne wzajemności. Zawieś jej zaufania, zdradzić jej nie mogę... Jeśli pan możesz posłuchać mojej rady, wróć do niej... niech nie wie o tem, że chwilowy kaprys pański, zatarł ją na chwilę w pana pamięci.

— Julja mnie kocha! -- zawołał pan Jan z zapałem.

Trudno zgadnąć jaką odpowiedź spodziewała się Anna wywołać swemi słowy, to pewna, że tego wykrzyknika przewidzieć nie mogła. Było w nim tyle prawdy i zapału, tyle radości i szczęścia, ile siły ognia i przekonania znajdowało się przed chwilą w oświadczeniu miłosnem z jakim pan Jan do niej przychodził.

— Wierz tu mężczyznom, — pomyślała, — gdy mam przed sobą dowód, że oni po dwie na raz kochać potrafiają!

— Julja mnie kocha, — powtórzył pan Jan, — kocha mnie... o! pani... wracasz mi życie.

Nie wiedzieć czemu te wykrzykniki stały się przykremlami dla Anny, gdy powinny były pozostać dla niej obojętnymi tylko. Uważała je za coś ubliżającego sobie.

— Jak on mi się przedstawia, — mówiła w duchu, — do czego to podobne... doprawdy... tylko co szalał... mówił, że nie znajdzie szczęścia bezemnie a teraz, gdy mu powiedziała, że go nie znajdzie i zemną, żeby go sobie szukał z tą, z którą je zgubił znowu szaleje... ale jak... o! mężczyźni! mężczyźni!

Z winy pana Jana ten wykrzyknik nie miał w sobie nic zaszczytnego dla naszej płci.

Po krótkiej rozmowie, w czasie której był traktowanym przez Annę z zimną obojętnością, dochodzącą chwilami do jawnej niechęci, Jan wyszedł na miasto uszczęśliwiony, z bijącym sercem, z palającą głową.

(d. c. n.)

### Przegląd literatury zagranicznej.

Lettres d'un voyageur en Perse par M-cur Méchin.

W samym końcu r. z: wyszło to dzieło w nader ograniczonej liczbie exemplarzy, i dla tego mało komu jest znane. Autor obdarzony bystrym umysłem i darem postrzegawczym, zwracał uwagę na wiele nieznanych dotąd danych o Persyi i jej mieszkańcach i opisuje je zajmująco. Zdjęty współczuciem dla biednych Parsisów, (wyznawców zasad Zoroastra) wzgardzonych i prześladowanych od tyłu wieków przez dzikich muzułmanów, za niezłomne przywiązanie do wiary naddziadów, bawił dłuższy czas w Yezd, głównej ich siedzibie, aby poznać bliżej obyczaje i zwyczaje tych potomków starożytniej Persyi, zwanych Gwebami, od wyrazu perskiego *ghuebr*, który zarówno jak arabski wyraz *kafir* i turecki *giaur*, znaczy niewierny. Jak wiadomo, w całej Persyi wyznawano niegdyś zasady Zoroastra, dopiero w VII-ym wieku naszej ery, zwycięzcy Kalifowie arabscy, mieczem i okrucieństwem zmuszali krajowców do przyjęcia wyznania Machometa. Ulegając straszemu prześladowaniu, ogół mieszkańców przeszedł na łono nowej wiary, lecz pewna ich

część, niewzruszona w swęj wierze, nie chciała się jej zaprzec, przenosząc śmierć, tułactwo i prześladowanie. Opuścili więc ojczyznę, rozproszyli się po Azyi a głównie w Indjach przechowali wiernie zasady i tradycje praocjów.

Długo, wzgardzeni i ścigani, wiedli życie koczujące nareszcie, gdy z upływem wieków, prześladowanie zaczęło tracić pierwotną swą siłę, odważyli się osiedlać gromadkami w najjałowszych i najmniej zaludnionych miejscowościach, a niektóre rodziny, ośmieliły się nawet powrócić do Persyi. I tak w Yezd i jego okolicach istnieje dziś do 900 rodzin Gwebów. Są wszyscy dobrze zbudowani, silni, łagodni, spokojni, rysy twarzy bardzo regularne, oczy piękne, tętnące rzewnym smutkiem; cera bardzo śniada.

Ubiór ich, kolorem tylko różni się od ubioru muzułmanów; w stroju prostaków przeważa barwa żółta, u znakomitszych szara. Muzułmanie, traktujący ich po dziś dzień, jak średniowieczna Europa Żydów, zabraniają im nosić *hebasy* (rodzaj płaszcza) wyrobów wełnianych (*rakin*) i materyi jedwabnych; nigdy także nie używają ani *ring'a* ani *henne* do farbowania włosów i brody, i nigdy nie palą tytoniu ani cygar.

Ubiór kobiet nie odznacza się ani smakiem ani elegancją; zazwyczaj składa się z różnobarwnych kawałków materji, co jednak wcale nie źle odbija od ich śniadęj cery i ognistych czarnych oczu. Rysy ich twarzy są mniej charakterystyczne niż mężczyzn: wychodząc nie używają zasłon.

Spotkawszy muzułmanina lub wjeżdżając do jakiegoś miasta, Gwebi musi zsiąść z wozu czy z konia i stać lub iść piechotą; nie zbyt jeszcze dawno Żydzi tak w Konstantynopolu jak w całym państwie tureckim, temuż podlegali prawu.

Wnętrze starych domów budowanych niegdyś przez Parsisów mają kształt kościołów. W głębi nawa, troje drzwi jedne w środku i dwoje bocznych prowadzących do pokoi. Na prawo i lewo wznoszą się duże sklepienia; przez odkryty środek dochodzi światło oświetlające mały dziedziniec wybrukowany małymi kamykami lub ubity ziemią i zwirem.

Jeśli mieszkaniec miasta wyjedzie lub przejeżdża przez wieś, wtedy gdy pierwszy raz pić mu się zachce, bierze kubek wody lub wina i wylewa go na drzewa, życząc przechodniom szczęśliwej drogi. Jako hasło do rozpoznania się między sobą, spotkawszy się wymawiają z cicha wyraz *behtin* co znaczy, najlepsza religja.

W samem Yezd istnieją dwie szkoły gwebryjskie, gdzie przeszło 60 dzieci uczy się czytać i pisać po persku. W jednej nauczyciel opłacany jest przez rodziców, w drugiej przez Gwebów zamieszkałych w Indjach, opłacających jak najregularniej ten podatek braterstwa. W każdej wiosce jest szkołka utrzymywana przez mieszkańców.

Małżeństwa zawierają się w następujący sposób:

Młodzian mający zamiar pojąć żonę, posła kapłana czyli maga do rodziców wybranki; jeśli przyjmują oświadczenie, odbierają bukiet, a w kilka dni później, rodzina starającego się przynosi znowu cukierki i złotą lub srebrną obrączkę, przeznaczoną dla oblubienicy. Rodzice panny znowu rozsełają cukierki rodzinie przyszłego zięcia, i ślub odbywa się za dwa miesiące. W dniu oznaczonym, wybierają siedm dostojnych osób, które udają się do pana młodego z zapytaniem, czy chce pojąć w małżeństwo dziewicę na którą *raczył zwrócić oczy*, a gdy ten siedm razy odpowie twierdząco, z kolei siedm razy zapytują pannę młodą; — potem kapłan udaje się do domu pana młodego, udziela małżonkom błogosławieństwo, a potem już następują głośne i wesole pohulanki.

Dziewczęta nie mogą iść za mąż przed skończeniem lat 14, młodzieńcy przed 17.

Gwebowie nie mają świąt cotygodniowych, tylko w całym roku obchodzą sześć świąt uroczystych, nazwanych *grombars*, które wypadają prawie co dwa miesiące. Wtedy składają hojne ofiary z baranów, które kapłan sam zabija, i poświęca na ofiarę, zostawiając od każdego po jednej łopatce, z któ-

rych następnie przygotowują ucztę złożoną z mięsa i siedmiu rodzajów nowych owoców.

Nim zasiadają do stołów, przynoszą święty ogień i każdy z współbiedniaków przez chwilę trzyma nad nim rękę, a następnie przesuwając ją po twarzy. Po ukończeniu tej ceremonii, kapłan rozdziela potrawę a pozostałe resztki uczt rozdaje ubogim bez różnicy wyznania, Gwembrom, Muzułmanom czy Żydom. Obliczają że rocznie na święta *gombarów*, zabijają 500 do 900 baranów.

Religijne obrządki czcicieli ognia odprawiają się w czterech świątyniach, z których jedna posiada przywilej że na jej ołtarzu zwróconym ku wschodowi, nieustannie płonie ogień święty. W innych w nocy tylko zapalają ogień, do którego używają zazwyczaj drzewa sandałowego, z wielkim kosztem sprowadzanego z Indji.

Świątynie te, zwane *derkmir*, otwierają się pięć razy na miesiąc, w różnych zmieniających się dniach, i wtedy cisną się wierni dla uczczenia świętego ognia; — różnowiercom wstęp najsurowiej jest zabroniony. Każdy *derkmir* jest obsługiwany przez pięćdziesięciu kapłanów czyli *mowbetów*, których naczelnik nie podlega żadnemu wyższemu zwierzchnikowi. Nie wolno im jadać razem z rodziną, podają im jadło na oddzielnym stoliku, i nie mogą pożywać mięsa innych zwierząt jak tylko zabitych na ofiarę ręką wielkiego kapłana.

Gdy dziecię przyjdzie na świat, najstarszy kapłan nadaje mu imię, i odmawia modlitwy na intencję aby całe życie było pobożne i szczęśliwe.

Mowbetesi nie odróżniają się ubiorem od innych gwembrow, modlitwy odmawiają w języku perskim, i nie posiadają żadnych ksiąg w języku pelwijskim (starodawnym perskim). Pomiędzy sobą rozmawiają mieszczaniną perskiego i pelwijskiego języka, jednak dla odmawiania pewnych modlitw muszą umieć po zendyjsku.

Cmentarze czcicieli ognia nigdy nie leżą ani przy drogach ani w pobliżu miast; zazwyczaj zakładają je o pięć lub sześć kilometrów odległości od miejsc zamieszkałych, na małych stromych wzgórzach, i otaczają dość wysokim ogrodzeniem, aby dzikie zwierzęta nie mogły go przebyć i szarpać ciała zmarłych. Wchodząc na cmentarz, gwembrowie przeryniają na dwoje chleb lub owoc jaki i kładą przy wejściu na kamieniu, dla dozorców cmentarza.

Gdy chory jest blizkim śmierci, przywołują kapłana, który aż do chwili skonu odmawia nad nim modlitwy. Jak tylko ostatnie wyda tchnienie, obmywają ciało wodą zmieszaną z wodą różaną, ubierają w koszulę i spodnie, obwijają całunem i zanoszą do świątyni, gdzie znowu kapłan odmawia nad ciałem modlitwy, następnie kładą na mary i przenoszą na cmentarz z towarzyszeniem muzykantów. Gdy już raz ruszą w pochód, pod żadnym pozorem nie wolno zawrócić lub zatrzymać się z ciałem, które koniecznie jeszcze za dnia musi być złożone na cmentarzu. Przybywszy tam, składają zwłoki na szeroki kamieniu i tak już pozostają na zawsze, nie pochowane, na otwartym powietrzu. Częstki pochodzące z rozkładu, spadają do małego kanału, prowadzącego do wspólnego dołu, — a gdy już same tylko pozostaną kości, zbierają je i składają do kostnicy.

Kiedy już ciało złożone jest na grobowym kamieniu, kapłan znowu odmawia modlitwy, a w końcu mówi: Brat nasz składał się z czterech pierwiastków, niech każdy zabierze co doń należy; ziemia niech wraca do ziemi; powietrze do powietrza, ogień do ognia, a woda do wody.

Przez cztery z kolei poranki, krewny jakiś przychodzi na cmentarz modlić się przy zwłokach, odnawiając jeszcze te odwiedziny dziesiątego i trzydziestego dnia po śmierci.

Cmentarze mają kształt koła i dzielą się na cztery części; pierwsza przeznaczona dla mężczyzn, druga dla kobiet, trzecia dla dziewcząt, czwarta dla młodzieńców; środek zostawiony jest dla kapłanów i ich rodzin. Drapieżne ptaki nieustannie krążą ponad tymi cmentarzami, zlatując się i szarpiąc dziobami nieopogrzebane ciała.

Corocznie w miesiącu sierpniu czciciele ognia obchodzą święto umarłych, wtedy tłumnie udają się na cmentarze, w około których bogaci wznoszą małe sklepienie domki, i w murach ich zamieszczają pogrobowe kamienie, z napisami przypominającymi zasługi i cnoty zmarłych krewnych, — niekiedy nawet zapalają w około nich lampki, które fanatyczni mahometanie tłuką z wściekłą zawziętością.

Gwembrowie wierzą niezachwianie, że w roku 1300 hegiry, przyjdzie ze wschodu obcy król, opanuje Persję; zniszczy ją zupełnie, i na zawsze wyzwoli z pod jarzma czcicieli ognia, którzy wtedy pomszczą się na muzułmanach za tyłowiekowy ucisk i przesładowanie.

Wiara i nadzieja wspólna wszystkim uciemienionym.

Gwembrowie odznaczają się zdolnościami do zajęć mechanicznych, trudnią się rzemiosłami i rolnictwem, czują wielki wstręt do handlu i służby wojskowej, podlegają władzy starców wybranych z pośród siebie, których zatwierdza miejscowy wazyr.

J. Belejowska.

## PRZYCZYNKI

DO HISTORJI LITERATURY POWSZECHNEJ.

### Sandor Petoefi

Poeta Węgierski.

(Dokończenie).

W każdej piosnce poświęconej szczęściu domowemu natraficie na strofy wojenne i patriotyczne, i to właśnie nadaje poezji Petoefiego nieopowiedziany wdzięk, nieprzewartą siłę, uroczą oryginalność i wielką moralną wartość, bo potrafiły pomieszać razem a zawsze gorąco i szlachetnie, czyste uniesienia rodzinne z zapalem obywatela.

Nie więc dziwnego że nie podobały mu się mierne i cklive pienia tysiąca śpiewaków, zjawiających się ciągle od chwili odrodzenia się literatury węgierskiej; prowadził z nimi nieustanną wojnę bo się bał, żeby te płaczliwe i sentymentalne utwory, nie zdenerwowały umysłu i serca dopiero co przebudzonego narodu. Napada ciągle na tych śpiewaków księżycy i nocy, a satyra jego jest zawsze gwałtowną ale i komiczną razem. Oto np. poeta słońca i czynu wkłada w usta księżycy następującą elegję:

„Dla czego jestem księżycem? Cożem takiego zawinił mój Boże Wszchemogący, że w całym stworzeniu ja jestem najędźniejszy? Wolałbym być ostatnim lokajem na onym mrowisku ziemskim, niż królem nocy na wysokościach niebios; wolałbym być na ziemi biednym żebrakiem i łazić tam boso i w gałganach niż królować tutaj w mojej srebrnej sukni; wolałbym tam na ziemi wyziewy szynkowni niż tu na niebie zapachy wydobywające się z gwiazd.

Czyliż nie masz nademną litości Przewieczny Sędzio? Wszystkie psy i wszyscy pszczykają ciągle na mnie. Leniuchy, składający na zimno wiersz do wiersza, bez natchnienia i siły, w których serce nie bije, wyobrażają sobie że ja pilnie słucham ich płaczliwych jermiad i że przez jakąś szczególną sympatię płaczę razem z nimi. Jestem błądliwy to prawda, ale nie choroba ani boleść pokryły twarz moją błądliwością; jestem błądliwy ze złości, bo widzę ciągle tych płaksów, błąkających się po nocy i odzywających się do mnie wszelkiego rodzaju tonami, jak gdybyśmy razem trzodę paśli.

„Niekiedy, wyznaję to, przychodzi do mnie ktoś nie należący do tej hołoty literackiej — prawdziwy poeta, prawdziwa iskra boża, a kiedy zaczniesz śpiewać to czuję jak mi serce rośnie i światła mi przybywa; ale za jednego takiego poetę, na którego całe wieki czekać muszą, tyśiące wierszokletów zatruwa mi na śmierć życie. Z każdego prawie krzaku wyłazi w nocy

taki niedołęga. Nigdy nie ma zarazy na te krzykliwe ptaki.

„Co noc muszę być gotowym na takie męki; co za życie! Co noc prawie rozpoczyna się ten żabi koncert, który mi w kawałki rozrywa uszy. Ot patrzcie! Widzicie tam jednego z nich; jaką ma śliczną melancholiczną fizjonomję; patrzcie jak macha rękami, wydaje się że chce je sobie oderwać i gdzieś daleko rzucić. Dla czego napadły go takie gestykulacje? Oto dla tego że nie ma komu wynurzać swych płaczliwych narzekań. Wydaje silne westchnienia, jak cygan kiedy go biją; żyły mu nabrzmiwiają, twarz robi się coraz bardziej ponurą. Słuchajcie! dostał pomieszania zmysłów, bo krzyczy jak opętany!

„Słuchajcie! woła na mnie żebym poszedł do jego ukochanej, żebym zobaczył co ona tam robi. O gdybyś mógł widzieć jak płacze ale nie za tobą mazgaju, ale za dzielnym orłem co jednym rzutem oka i jednym polotem myśli obiega obszary madziarskiego nieba... Kiedym ci już wszystko opowiedział, idź precz ztąd cnoś by na dno samego piekła! Nie lękaj się, nikt po tobie rąk nawet nie załamie.“

Wszystkie utwory Sandora Petoefiego brzmią dotąd po całym kraju węgierskim; przepowiednia Michala Vörösmarkt sprawdziła się. Petoefi jest najrzeczywiście narodowym i ludowym poetą. Kochany od wieśniaków i uczonych; równie głośny po wsiach jak w akademiach; pał samowładny młodzieży swemi pieśniami, o miłości i wesołej młodości zniewala sobie i dojrzałym ludzi głębokością tonu ostatnich utworów.

W r. 1848 w Październiku Petoefi wszedł do wojska, został kapitanem w 27 batalionie Honwedów i miał udział we wszystkich bitwach stoczonych z Austrjakami nad niższym Dunajem. W pośród świstu kul i huku armat młody adjutant układał ciągle rozrzewniające strofy o starym ojcu, o żonie i o synu, albo rzucał pioruny na nieprzyjaciół lub wołał do Boga o szczęście dla Węgier.

Kertbeny powiada, że ostatnim jego utworem jest pogrobowe wspomnienie o kolegach poległych w walce. To wezwanie do wiosny w r. 1849 jest może jedynym w swoim rodzaju.

„Młoda wiosno, córko stariej zimy, córko rozkoszna i pełna nadziei, gdzie jesteś? Dla czego nie spieszysz wstąpić na twój złoty tron?

„Przychodź jak najprędzej! Twój przyjaciele czekają na ciebie, bo im tęskno na świecie. Przychodź i rozwiń pod niebieskim sklepieniem zielone z drzew namioty.

„Przychodź uzdrowić jutrzemkę bo chora jest. Patrz jak wisi tam na krańcu horyzontu smutna i blada.

„Przyprowadź mi także słowików, moich ukochanych mistrzów poezji; one to nauczyły mię śpiewać, kiedym jeszcze był dzieckiem.

„A nie zapominaj kwiatów! Jak najwięcej kwiatów! Przynoś ich tyle ile unieść zdołasz, przynieś ich pełne ręce.

„Bo pole śmierci niezmiernie się powiększyło w ostatnich czasach: ofiary wojny leżą po całym Węgrzech pobite w bitwach morderczych.

„A ponieważ umarli tacy leżą w grobach bez ubrania żadnego, to rzuć do ich grobów i na ich groby najpiękniejsze kwiaty, niech one będą śmiertelną dla nich koszulą!

Nie widać w tem wspomnieniu o umarłych ani odrobiny zniechęcenia się lub upadku na duchu. Niestety ostatnia to już wiosna, którą zowiąwał poeta! Zginął z szablą w ręku, jak sobie życzył. Los jego okrywa niezbadana dotąd tajemnica, ale ma zaszczytne miejsce między najpierwszymi lirykami XIX wieku, bo uczucia które opiewa należą do wszystkich narodów i do wszystkich czasów.

M. Gliszczyński.

## Symbolika kwiatów i roślin.

PRZEZ

profesora J. Berdau'a.

*Szafran* (*Crocus*, *Crocus vernus*), jest to piękny kwiatek cebulkowy wiosenny, u nas w ogrodach w gruncie lub w doniczkach często dla ozdoby hodowany, i wraz z hyjacyntami kwitnący. Doniczko-ke okazy popędzają ogrodnicy w cieplarni, aby już w Lutym zakwitły, między którymi są i odmiany z kwiatami podwójnymi, prawie pełnymi, różnokolorowymi, zupełnie białymi, żółtymi i t. p. Gruntowe znów kwitną tak samo, tylko później, i kiedy już śnieg z grządek ogrodowych poznikał, przez co stają się prawdziwie miłą i wdzięczną ozdobą ogrodu wiosenną. Szafrany rosną dziko po łąkach lub po pagórkach trawiastych w nieco południowych stronach Europy aniżeli nasz kraj, lecz inny gatunek botaniczny (*Crocus sativus*), pod jesień kwitnący, trafiający się w całej Europie południowej i na Wschodzie, gdzie też bywa i umyślnie hodowany, dostarcza ze środka swych kwiatów, owych powszechnie znanych; pomarańczowej barwy i pachnących niteczek, które stanowią *szafran* handlowy, w naszych kuchniach częste użycie mających.

Jakikolwiek gatunek szafranu czy wiosenny, czy też jesienny, jest symbolem zorzy porannej i miłości. Eos grecka bogini zorzy, jak zazwyczaj, była przedstawioną na tle szafranowej barwy. Kiedy Zeus na górze Ida zaślubił się zamysłał, polecił na pamiętkę swęj miłości, aby ziemia między innymi najpiękniejszymi kwiatami, i szafranowy wydała. I miłość Stwórcy do swego stworzenia (człowieka), symbolizuje szafranowa barwa, jak w tym względzie Portal (*Des couleurs symboliques*, Paris 1837, p. 240) utrzymuje, mówiąc: „Dans le christianisme, le couleur safrané et orange, etaient les symboles de Dieu embrassant le coeur et illuminant l'esprit des fideles, nous en trouvons une preuve dans les statuts de l'ordre du saint Esprit, crée par Henri III, qui eta-blissent que les chevaliers porteront la croix de ve-lours jaune orangé sur leurs manteaux et au cou le ruban azur; dans la langue divigne la couleur safran-nee designait l'amour divin revelé a l'ame humaine, l'union de l'homme a Dieu“ (1).

(1) Z tej książki dowiedzieć się także można, że barwa biała oznacza niewinność, czystość; różowa miłość; niebieska stałość, fioletowa nabożność i miłosierdzie, karmazynowa przywiązanie, pasowa mądrość, popielata sędziwość, zielona nadzieję; czarna smutek i żółta zazdrość, srebrna oziębłość, a złota bogactwo.

### Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkuszowego.

#### N. 11. Suknia żaknotowa.

Trzy wolanty ukośnie krajane objęte plisną z wypustką, nad tem w górę naszyte w małych odstępach patki, zakończone każda guziczkiem, ubierają suknię z niewarowego (écru) żaknotu lub płócienka. Wolanty te przyszywają się po obu bokach podniesione w górę. Gładki stanik i poły zaokrąglone u paletota, podobnie się garnirują. Okrągły słomiany kapelus z kwiatkami i gazowym woalem.

#### N. 12. Wizytowe ubranie à la Watteau z czarnego poul de soie.

Skroiszy bryt podług ryciny 12 układa się go od stanu do góry w duże kontrafałdy i przytwierdza kokardą na plecach, w stanie pod spodem lekko przy-czepia, skąd całą szerokością materiału spada ku dołowi: à la Watteau. To wszystko ubiera się jak rycina przedstawia, bufami, ruszą i dużymi kokardami z materji. W podobny sposób przybrana dolna suk-nia. Tiulowy kapelus z owalnym denkiem przy-brany kwiatami.

#### N. 13. Spacerowe ubranie.

Suknia fularowa w rzut z falbaną w fałdki układa-

na u dołu. Paletot czarny jedwabny z epoletami i kokardami atłasowemi. Kapelusik z czarnego tiulu i koronki, przybrany kwiatami koloru sukai.

#### N. 14. Wizytowe ubranie.

Suknia powłóczysta z lilla materji. Okrycie czar-ne koronkowe, które z łatwością bardzo urządzić mo-żna, z dwóch koronkowych pół chustek, oszywając je koronkową falbaną. Większa chustka opuszcza się długo na suknię, z mniejszą robi się niby pelerynka do stanu, końce od obu chustek na przodzie układa się krzyżując. Całość przybrana bogato wstążkami i kokardami. Bardzo maleńki kapelusik słomkowy lub koronkowy.

#### N. 15. Ranne ubranie negliżowe.

Gładka suknia i krótka w kształcie paletosaka ża-kieta, z cienkiego białego batystu Indyjskiego. Ubranie stanowią pojedyncze patki, ścinane jak u kra-wacików, zakończone desenikiem drukowanym. Ko-lorowa pliska przytwierdza te gęsto przy sobie naszy-te patki, które u dołu gęściej a u góry rzadziej się dają. Muślinowy czepeczek ze wstążkami odpowie-dniami kolorowi deseniku na patkach.

#### N. 16. Domowe lub wizytowe ubranie.

Spodnia suknia w ukośne kraty, wierzchnia w od-powiednich kolorach, mieniona, albo też z elegan-ckiego lekkiego materiału. Wycięty stanik z długie-mi rękawami ubiera muślinowa, niby chusteczka, przystrojona kokardami. Bandedetka czyli opaska i kokardki we włosach, muszą odpowiadać kokard-ko-m u sukni.

#### N. 17. Ubranie dla małej dziewczynki.

Czarna kamlotowa lub jednokolorowa wełniana su-kienka, ze stanikiem w kształcie gorsecika, spada na spódniczkę z jasno szkockiej materji dwiema falban-kami ubrana. Bluzka muślinowa z rękawami dopel-nia stanika. Szkocka kokardka we włosach.

#### N. 18. Ubranie dla małego chłopczyka.

Majteczki, kamizelka i luźny kaftaniczek z popie-latego letniego korciku, ubrane na przodzie i z boku majtek, szerokim pasem jedwabnym brązowym lub czarnym naszytym guziczkami. Szeroki płócienny kołnierzyk, pół wysokie popielate buciki, kolorowe pończoszki.

#### N. 19. Strojne ubranie.

Suknia jedwabna lub z lekkiego letniego materia-łu, ze stanikiem bardzo wyciętym w kształcie serca, ogarniowanym szeroką czarną koronką. Kokardy ze wstążki zdobia ramiona i przód stanika. Szmi-zetka i rękawy uszyte z tiulowych bufek i koronko-wych wstawek, przewlekanych odpowiednią wążiuch-ną wstążeczką.

#### N. 20. Strojne ubranie wizytowe.

Suknia podwójna biała muślinowa z wysoką bluz-ką układaną w fałdki. Wolant u spodniej sukni ugarniowany falbankami układanymi w fałdki, przedzielonemi wstawką. Wierzchnia suknia tak samo ubrana tylko bez wolanta. Bretelki i od nich idąca szarfa z kolorowej wstążki jedwabnej, ze wstawką z muślinu w fałdki układanego, oszyte po brzegach czarną koroneczką i przybrane kokardka mi aksamitnemi. Dwie wielkie pętlice ze wstążki aksamitnej, od przodu ku tyłowi paska idące, pod-trzymują z boku z wdziękiem wyciągniętą suknię. Grzebień szyldkretowy z długą ławeczką stanowi ubranie głowy.

#### N. 21. Strojne ubranie dla bardzo młodej osoby, na wieczorek.

Biała muślinowa suknia garnirowana wstawką tiulową, w deseń przeciąganą lub haftowaną atłas-kiem. Po obu stronach tejże, muślinowe wążiutkie ruszki, na przyszyciu których daje się wążka także atłasowa wstążeczka albo takiż rulonik. Pasek z szarfą, kokardki na przodzie, ramionach i we wło-sach, atłasowe.

#### N. 22. Ubranie dla małej dziewczynki.

Sukienka podwójna biała alpagowa, z wyciętym staniczkiem i krótkimi bufiastemi rękawkami. Wążkie objęcie u dołu, guziczki i kokardki z nie-bieskiej materji.

#### N. 23. Ubranie dla młodej panienki.

Suknia do kostek z gładkiego gęstego bareżu po-pielatego. Stanik i suknia u dołu przybrane karbo-waną falbanką i plisną bareżową. Pelerynkaz wy-lógami w kształcie serca wycięta. Kapelusik kre-powy popielaty garnirowany ruszą, kwiaty różowe.

#### N. 24. Domowe ubranie.

Suknia z mienionej materji koloru bordeaux z czarnem. Bretelki, mankiety i przybranie sukni na przodzie, rozechodzące się ku bokom i dokoła idą-ce, (à tablier) robia się z plisy takiej samęj co i su-knia, wyciętej w okrągłe zęby objętej wypustką i naszytej wążiutką rulką czarną jedwabną. Przy-szycie tej plisy okrywa dość szeroki z tej samęj ma-terji ukos, po obu stronach objęty wypustką. Ża-bocikowa kokarda uszyta z muślinu i wstawki ko-ronkowej naciąganej wstążeczką, brzeżkiem koron-kowym oszyta.

#### N. 25. Ubranie do wód.

Ubranie to z perkaliku w deseń lub wełnianej materji, składa się z sukni i paletota. Pierwsza i drugi przybrane są szerokim wolantem, wodą i na-główkiem z falbaneczki. Paletot skrojony, z boczkami, rozcięty z tyłu, od dołu do góry w fałdy ze-brany, formuje bufę. Szarfa z materji lub wstążki. Kubek przez jedno ramię na sznurku przewieszony; na ramieniu i przy zawieszeniu kubka, kokarda od-powiednia kostiumowi. Kubek ten można zawiesić na dużych paciorkach, lub na wstążeczce morowej dosyć długiej. Okrągły kapelus ubrany wstążką czarną i koronką.

#### N. 26. Spacerowy kostium z perkaliku.

Suknia podwójna do kostek. Wierzchnia z przo-du trochę krótsza niż z tyłu, a przód i tył łukowato ścięty. Stanik bluzkowy z wycięciem podłużnem na kształt serca. Za garnirunek tej sukni z białe-go w paski niebieskie perkalu, służy szeroki dosyć wolant skośno krajany, z nagłówkiem. Poniżej te-go wolanta dwie karbowane falbanki prosto cięte, jedna pod drugą przedzielonemi listówką ciętą z te-go samego perkaliku przez całą długość pasków. Okrągły kapelus tiulowy z kwiatami i tiulową wo-alką.

#### N. 27. Spacerowy kostium z piki.

Pierwsza spódnica pikowa w pasy orzechowe z białem, wierzchnia z białej piki, z jednego boku podpięta w fałdki przytwierdzone guziczkami. Sta-nik bluzkowy, szarfa, pasek i wywinięte mankiety z wierzchu rozcięte, również białe pikowe obejmuje się skośno ciętą plisną z takiej samęj piki co pier-wsza spódnica. Podobna pliska naszyta jest na wierzchniej spódnicy. Kapelus słomkowy z kwiat-kami polnemi i gazowym woalem.

*N. 28 i 29. Dwa oszycia frywolitkowe z gipiurą do pikowych sukien.*

Materiał: Kręta bawełna N. 30.

*N. 28. Oszycie frywolitkowe robione jedną nitką.*

Dwa rzędy frywolitkowych pętelek, każda z 4-ch podwójnych węzłków, jednego pikota i znów 4-ch podwójnych węzłków, ciągle robić, odstępując jedną pętelkę od drugiej blisko na 1 cent. dalej przez jeden rząd zrobionych węzłów, łączy się zamykające węzły.

*N. 29. Oszycie frywolitkowe robione dwoma nitkami z gipiurą.*

Najpierw urządzają się półki wiadomym sposobem; liczba pikotów i węzłków widoczna na rycinie. Drugi rząd robi się węzłkami, wiążąc pomiędzy dwoma lukami nitkę roboczą z nitką zakładającą. Oba te ostatnie rzędy, bez dalszych objaśnień wykonać można, zdobiąc je listeczkami gipiury, jak również skośno położonymi środkowymi niteczkami, które się drugą nitką okręca.

*N. 30 i 31. Koszyk do ręczników od kurzu z lambrekiny kolorowo haftowanej.*

Materiał: Białe i sarniego koloru sukno, złoto-żółty, pasowy, niebieski i seledynowy kordonek, złota torsadka. Brązowa wstążka 2 1/2 cent. szeroka, brązowy karbowany jedwab.

N. 30. Koszyczek trzeinowy z przykryciem, ozdobiony zębami dwojakięj wielkości. Rycina 31 przedstawia w naturalnej wielkości zęby z wyciętymi ząbeczkami, z białego sukna zrobione, płaskim ścięciem haftowane, w Chińskie bukiety z złoto-żółtymi kieliuchami, z listeczkami niebieskimi, pasowemi i seledynowemi, gałązka zaś i żyłki łączące między sobą te kwiaty; robią się czarnym jedwabiem. Złota torsadka uzupełnia całość. Mniejsze podłużne zęby idące pomiędzy wyżej opisanymi robią się z sukna koloru sarniego czyli płowego, także brzegiem ząbkowane, długość ich wynosi 6 cent. szerokość w górze 4 1/2. Zęby te zdobi się szydełkowym ścięciem, złoto-żółtym jedwabiem w kłosa, na których w środku idą trzy seledynowe ścięgi, jednym poprzecznym ścięciem złożone. Każdy ząb przybrany 6 cent. długim kwastem z karbowanego brązowego jedwabiu. Temuż kolorowi odpowiada kokarda na przykrywcę koszyka, jak również rusza na przyszyciu lambrekiny dana.

N. 31. Wskazuje w naturalnej wielkości zrobiony jeden większy ząb do lambrekiny.

*N. 32. Rozetka frywolitkowa.*

Wyraźna rycina nie potrzebuje objaśnienia tej ładnej rozetki, zrobionej z cienkich nici, a mogącej służyć do ozdoby krawatek i bielizny. Na przybranie pikowych sukien, robi się z grubszych nici, jak ryciny 28 i 19 wskazują.

*N. 33 i 34. Dwa desenie na cygarniczki.*

Więcej niż kiedykolwiek dzisiaj ulubione hafty, najlepiej robić w krosnach na skórze lub kaszmirze. Wymagają one na podkład mocnej podszewki, na której wierzchni materiał gładziutko i szczerlnie się przykładają, dobrze fastrzygując, i dopiero w krosnach szpanuje.

*N. 33. Haft na kolorowej skórze.*

Na nieglansowanej skórze robi się deseni w arabski szarym kręconym sznurkiem, przyszywając go krytym ścięciem jedwabiem koloru skóry, według rysunku. Ściegi luźne w gzygzaki zapełniające tło,

jakoteż sztywne supelkowe muszki i kwiat atłaskowy w środku robią się kordonkiem tego samego cieniu. Na żyłki, korzonki i środki kwiatków, bierze się złoty sznureczek.

*N. 34. Wschodni haft na kolorowym kaszmirze.*

Pasowy kaszmir służy za tło tego świetnego kolorowego haftu. Środkowa rozeta niebieskim jedwabiem zrobiona, ma w środku gwiazdę z cienkiego złotego sznureczka, czarnym i białym jedwabiem obwiedziona, złotym także sznureczkiem pomiędzy ząbkami rozety dają się długie ścięgi, a w zagłębieniach ząbków niebieskim jedwabiem haftowanych, złote laseczki. Boczne pół rozety, zielone i czarne mają złote gwiazdki w środku. Żółte i czarne ścięgi tworzą deseni na 4 brzeźne szlaczki. Podłużne kwadraciki pomiędzy niemi idące, przedzielając zielone gałązki, są z brązowego jedwabiu; białym wykonywa się rzucone na końcach cygarniczki pojedyncze gałązki. Narożne liście są z czarnego, złotego i zielonego koloru, zaś dwie poprzeczne pół rozety szlaku, czarne białe i złote.

*N. 35. Kokarda do kołnierzyka z rozetkami frywolitowemi.*

Za ozdobę tej kokardzie służą rozety, robione z cienkich nici w dwa rzędy, 1 rząd zaczyna się 12 lukami zewnętrznymi, połączonymi 12 listkami koniczyny, każdy listek robi się zmieniając z przybraniem pomocniczej nitki, do luków wiążą się nitką 3 pęteli koniczynowego listka. Każdy luk składa się z 16 podwójnych węzłków i 5 pikotów. Pęteli mające 8 podwójnych węzłków i 3 pikoty drugiego rzędu, przyczepiają się do luku 1 rzędu. Białe batystowy guzik zdobi punkt środkowy. Mała rozetka strojąca węzeł kokardy, zaczyna się robić od środka na wierzch i na spód 8 odwróconymi pętelkami. Na okalający brzeg rozetki zmienia się dwa podwójne węzłki i 1 pikot.

*N. 36. Pokrycie imbryczka od kawy. Robota szydełkowa i haft na srebrnej kanwie.*

Materiał: Srebrna kanwa, pasowa i czarna filozela, pasowa zefirowa włóczka, 2 1/2 cent. szeroka, czerwona welniana tasiemka, pasowa flanelka i biały karton.

Wielkość tego pokrycia, składającego się z 8 pojedynczych części, winna być zastosowana do wielkości imbryka. Na modelu jest ono wysokie 37 cent. a szerokie u dołu 60 centy. Cztery pasy zrobione są zwyczajnym tunetańskim ścięciem pasową zefirową włóczką, na szerokość 19 oczek, a długie 31 cent. Drugie cztery pasy haftują się, podług ryciny 36, na srebrnej kanwie, robiąc gwiazdki z lekkich promieni z czerwonej filozeli czarną filozelą przewiązane. Na brzegach dają się wierzchem skośne czarne ścięgi, środkiem czerwono przestembnowane. Czarny ściąg łączy szydełkowe i kanwowe pasy. Te ostatnie podklejają się kartonem, a u góry zakładają jeden na drugi w oddaleniu od górnego brzegu na 3 cent. Dolna część tej nakrywki otrzymuje cienką stalową spojną obrączkę, bardzo ciasno wszytą, pod całą zaś przyrząd daje się prosty kawał czerwonej flaneli, który w środku u góry należy sfaldować, a u dołu na wierzch dosyć szeroko wywinąć. Flanela ta utrzymuje w imbryku gorąco. Na wywinętą od dołu flanelę idzie rusza środkiem przefaldowana z czerwonej taśmy, przedzielona wąskim paseczkiem kanwy czarno haftowanej. Zakończenie w górze stanowi taż sama tasiemka z jednej strony fałdowana, trzy razy do koła oszyta, a pomiędzy to oszycie umieszcza się 4 pęteli 3 cent. długie. Piąta w środku za rączkę służyć mająca, również ze srebrnej kanwy z deseniem odpowiednim brzegom szerokich pasów, ma mieć 6 cent. długości.

*N. 37. Bucik pikowy dla dziecka.*

Bucik ten opatrzony klapką do zapięcia na guziczki, w górze cokolwiek zaokrąglony, kraje się podług formy na tablicy krojów w Ty. M6d dawniej podanej, garnirując go perłowym sutaszem i haftowaną aplikacją na przodzie, wreszcie oszywając pikową taśmą smuklerską. Sznury i kwasty z plecionego sutaszu.

*N. 38. Bucik szydełkową robotą dla dziecka.*

Materiał: Bawełna Estramadura N. 4.

Bucik zacząć trzeba od środka tyłu, robiąc tam i na powrót w górę ściśle oczkami, raz całe a drugi raz pół oczka biorąc. Te ostatnie daje się tak wysoko jak muszki, ubierając bucik z tyłu i przodu. Pomienione muszki wykonywają się następującym sposobem:

Dwa ściśle oczka poprzedniego rzędu opuścić, a zaczem się przewlecze ściśle oczko, należy zrobić 3 powietrzne; z powrotem przerabia się gładko, kładąc szydełko w całe oczko, a nabierając 34 oczek, mamy pierwszy podwójny rząd w ściśle oczka. Pamiętać trzeba, że na ten pierwszy rząd robi się 10 muszek, które w następnych rzędach powinny naprzemian wypadać. Ilość tych muszek rycina 38 wyraźnie podaje. W trzech pierwszych podwójnych rzędach (tam i napowrót) gubi się po jednym oczku u dołu, a w szóstym podwójnym, trzy oczka u górnego brzegu. Wielkość górnej połowy trzewiczka, wymaga 14 podwójnych rzędów, od których muszki, w skos naprzód idą, i po zrobieniu 9ciu rzędów, jedną muszką się zakończają. W 2m 3m i 4m rzędzie tych dziewięciu rzędów, u dolnego brzegu przybiera się po jednym oczku. Druga połowa bucika tak samo zrobiona, łączy się w środku z tyłu szydełkiem, z przodu zaś zeszywa się wierzchem igłą. Szew ten łączy muszki, co ozdobnie wygląda.

Na garnirunek do ruszy podobny, w górze bucika, robią się dwa rzędy laseczek ażurowych. Laseczki pierwszego rzędu muszą trafiać w zagłębienia rzędów u cholewki. — dalej tunetańskim ścięciem idą dubeltowe pęteli 1 cent. długie, w każdy karbik poprzedniego obrobienia (raz nałożony przez oczko przeciągnąć) dalej odrabiają się pojedynczo 5 powietrznych oczek przez jedno powietrzne oczko. Na drugie dwa rzędy ruszy, dubeltowe te pęteli przeciąga się przez laseczki. Na ostatek przez ząbki powietrznych oczek przewleka się sznurek także powietrznymi oczkami zrobiony. Sznurek do wierzchniej i dolnej ruszy, powinien być długi i mieć na zakończenie bombelki strzyżone; służy on do wiązania bucika. Na podeszwę trzeba 20 podwójnych rzędów 11 cent: długich, biorąc za całe oczka. Podeszwa ta zaczyna się od przodu jedenastu oczkami, poszerzając ją w 4m rzędzie o 4 oczka, — dalej cztery razy prosto obrobić, a następnie zwięźać do 12 podwójnych rzędów na 9 oczek, i ztąd znowu przez 3 rzędy o 4 oczka poszerzyć, a wreszcie 7ma oczkami zakończyć. Podeszwa do bucika po lewej stronie wierzchem się przyszywa.

**Listy i przesyłki pieniężne** na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956 dom dawniej Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek arkuszowy z drzeworytami.





N. 1. Haft na firanki.

Aplikacja i ściąg koronkowy.

Ten skromny a bardzo okazały deseń w zęby przedstawiony na rycinie w naturalnej wielkości, bardzo jest łatwy do wykonania. Firanka robi się z muślinu, podkładając na szlaki groszortowym tiulem stosownej szerokości, a który podług deseni, przyrabia się szydełkowym ściągciem. Muślin, wszędzie się z pod tiulu wycina, z wyjątkiem miejsc deseniem wskazanych. Zęby na dole dzierga się bardzo gęsto. W miejsce przytrzymujących firankę z boku wiązań lub rozet metalowych, robią się takie same muślinowe pasy do podtrzymania.

N. 1. Haft na firanki. — Aplikacja i koronkowy ściąg.

Tło muślinu można zahaftować dużemi groszkami atłaskowemi, a w około nich mogą iść arabeski.

N. 2. Ubranie dla dziewczynki.

Sukienka z alpagi białej w rzucik czarny i ponso-

wy. Spodnia sukienka ma obłożenie wełniane w paski czarne z ponsowem, wierzchnia sukienka przybrana pliskami skośnemi i frendzlą czarną. Za okrywkę służy czarny kaszmirowy kapturek, ubrany rulkami z czarnego atłasu. Pasterski kapelusik z florenckiej słomy, z ciemno-ponsowemi różami i czarną aksamitką dopełnia ubrania. Włosy w tył zaczesane, niesplecione lecz lekko skarbowane i wolno do tyłu puszczone, u dołu związane są kokardką.

N. 3. Wiytowe i spacerowe ubranie.

Na gładkiej, trochę powłóczęstiej sukni, układa się

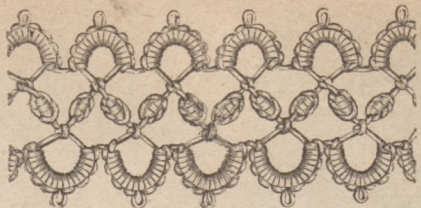


N. 2. Ubranie dziewczynki. N. 3. Spacerowe lub wizytowe ubranie. N. 4. Kostium dla młodej pani. N. 5. Ranne ubranie négligé. N. 6. Spacerowe ubranie z Talmą. N. 7. Ślubne ubranie. N. 8. Spacerowe lub wizytowe ubranie. N. 9. Ubranie dla dwuletniego dziecka. N. 10. Kostium dla młodej pani. N. 11. Spacerowe ubranie. N. 12. Wizytowe ubranie. N. 13. Spacerowe ubranie z palemą.



N. 14. Wizytowe ubranie. N. 15. Ranne ubranie négligé z batysty lub perkalu. N. 16. Domowe lub wizytowe ubranie. N. 17. Ubranie dla młodej dziewczynki. N. 18. Ubranie dla chłopczyka. N. 19. Ubranie po domu lub na małe zebranie. N. 20. Ubranie wieczorne dla młodej osoby. N. 21. Ubranie dla młodej pani. N. 22. Ubranie dla młodej pani. N. 23. Ubranie dla młodej pani. N. 24. Domowe ubranie. N. 25. Kostium na wody. N. 26. Spacerowy kostium z perkalu. N. 27. Spacerowy kostium pikowy.

lekką tunikę, w samym środku i po bokach okrągło wcinaną oszyta ruszą z tej samej co suknia materji, oraz frendzlą. Gładki stanik, na ramionach i u szyi przybrany ruszą. Szarfa ułożona w kształcie wachlarza z dubeltowych kawałków materji. Kapelusz tiulowy z polnemi kwiatami.



N. 28. Oszycie frywolitkowe robione jedną nitką.

**N. 4. Ubranie dla młodej panienki.**

Spodnia suknia z lekkiej tkaniny w paseczki nie-

bieskie i srebrno popielate na tle białem, po którym rzucik z trzech kwiatyczków przechodzi, na to tunika z jasno - popielatą arzantyną, marszczona poszwach do samej góry i przepinana niebieskimi atłasowymi pliskami. Rękawy jak u spodniej sukni. Kanzyk w kształcie chusteczki z szarfą, ogarniany pliską niebieską. Kokardka niebieska we włosach.

**N. 5. Ranne ubranie negliżowe.**

(Z kaszmiru w tureckim guście).

Negliż ten z okrągłą pelerynką, może być ubrany fu-

larem, a przedstawiony, jest z aksamitnemi czarnemi ząbkami. Ranny czepek z odpowiedniego koloru wstążką.

**N. 6. Ubranie spacerowe.**

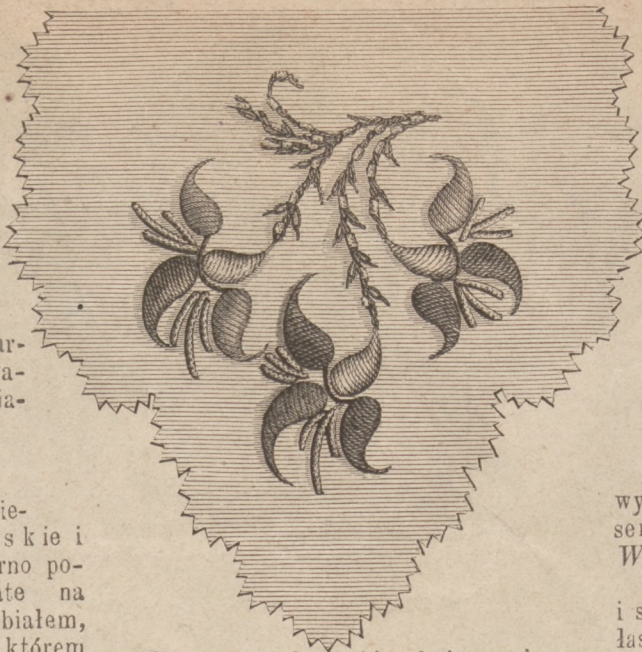
Ubranie to złożone z dwóch spódniczek z czarnego grosgrain, zdobne pliskami, ruszą i wypustkami. Na wierzeh czarny spłaszczony (Mantelet) kaszmirowy, z jedwabną podszewką, oszyty na około czarną frendzlą jedwabną. Można go urządzić i z czarnej materji. Okrycie przedstawione jest to samo co szeroka talma, u której przesuwa się przez zrobione z boku otwory pasek i przytwierdza z tyłu kokardą, przez co formują się od ramion spadające szerokie rękawy. Okrycia takie używają się obecnie w najrozmaitszych odmianach i stanowią najświeższą modę.

Opisane ubranie dopełniają kokardy podług upodobania urządzić. Kapelusz



N. 37. Bucik pikowy dla dziecka.

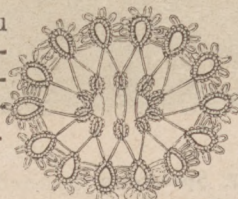
Dalszy ciąg w Tyg. Mód N. 27.



N. 31. Część lambrekiny do koszyczka.



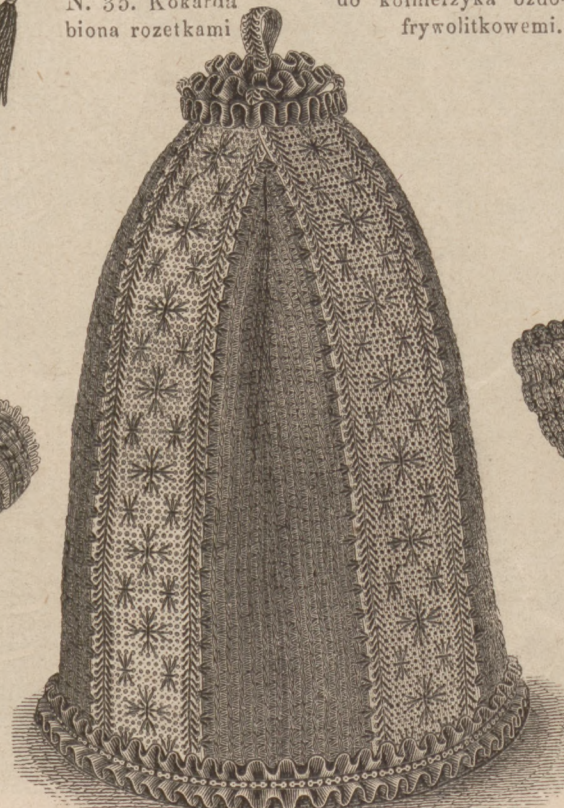
N. 30. Koszyczek do ręcznika od kurzu.



N. 32. Rozetka frywolitkowa.

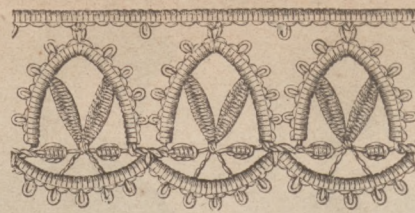


N. 35. Kokarda biała rozetkami do kołnierzyka ozdobiona frywolitkowami.



N. 36. Przykrycie na imbryczek od kawy.

dwójnie do środka złożoną kokardą i kwastami. Okrągły słomiany kapelusik z kokardą i rajskim ptakiem.



N. 29. Oszycie frywolitkowe robione dwiema nitkami z przyszytą gipiara.

wiązany z czarnych koronek przybrany kwiatami w żółto - złotym kolorze.

**N. 7. Ubranie ślubne.**

Suknia jedwabna albo muślinowa otrzymuje na około trenu szeroki wolant idący w górę, zwężony jednak ku przodowi. Sam przód sukni co tworzy niby fartuszek, ubrany jest jednym szerszym z nagłówkiem, a drugim węższym wolantem. Przyszyte wolantów nakrywa się ruszą, przesyłają środkiem atlasową rulką. Podobne rusze garnirują stanik

wycięty w serce à la Watteau.

Kokardy i szarfa atlasowe. Nad ślubnym wieńcem przypina się à la religieuse iluzjowy welon, spadający na plecy.

**N. 8. Ubranie spacerowe i wizytowe.**

Spodnią suknię z jedwabnej lub wełnianej materji ubiera się szerokim wolantem i ruszą z nagłówkiem albo dwiema węższymi falbankami.

Wierzchnia suknia jest miernie odstożona od pierwszój; z tyłu od dołu ułożona w wielkie bufaste fałdy. Na wciętych paletociku

N. 34. Haft na cygarniczkę kolorowym jedwabiem.

krótkimi zmarszczonemi po bokach połami, garnirowanie podobne jak u sukni tylko pomniejszone. Kokarda z dwóch pukli przyzdabia szarfę. Słomkowy kapelusz wiązany przystrojony kokardą, koronką i kwiatami.

**N. 9. Ubranie dla dzieci do lat 2.**

Króciutka podwójna sukienka z białej piki, także perynka i rodzaj szerokiej baskiny oszyte taśmą pikową. Okrągły kapelusik słomkowy, niebieską wstążką, i kitką z piór przybrany.

**N. 10. Spacerowe ubranie dla młodej panienki.**

Na spódniczce w szerokie pasy daje się druga krótsza suknia w takie same pasy lecz węższe i trzecia bez rękawów gładka, po bokach zebrała podług upodobania, z koloru ciemnych paszków spódniczki albo czarna. Ubranie na staniku i od paska na przodzie naszyte materjalnemi lub atlasowymi rulonikami. Naszyte to zakończa się wachlarzykową porządkową.



N. 38. Bucik szydełkową robotą dla dziecka.